



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



NA SWOJSKĄ NUTĘ.

estem sobie biedne ptaszę,
Śpiewak z Bożej woli;
I szczebiocę, jak Bóg każe,
Wciąż o ludzkiej doli.

Nie zabłysnę ja piórkami
W rannej zorzy blasku,
Nie zadzwonię piosenkami
Jak słowiczek w lasku.

Serca ludzi nie upoję
W cichą noc majową,
Nie zawisnę jak skowronek
Nad niwą zbożową!

Jam wróbelek, ptaszek mały,
Szare piórka mnie odziały,
Z ludzkiej łaski sobie żyję,
U nich gniazdka wije.

Z wiatrem sobie na gałązce,
Pod okienkiem się kołyszę,
Zawsze, zawsze coś obaczę, —
Zawsze, coś podsłyszę,

Patrzę, jak się nitka szara
Wije na wrzeciono,
Patrzę, jaki na kominie
Ogień rozłożono.

Czy nie głodne dzieciak gromu
Wstaje od wieczerzy,
I czy smutni ludzie wstali
Od rannych pacierzy?

Wiem, co ojca siwą głowę
Troskami zamroczy,
Czemu doni czarnobrewej
Łza zaciemnia oczy.

Wiem, co matki blade czoło
W tyle zmarszczek ryje;
A gdy piosnka brzmi wesoło,
Ile smutków kryje.

Tak dzień cały podsłuchuję,
Tak dzień cały podpatruję,
A wieczorem, gdzieś za płotkiem,
Ptaszę gadatliwe,
Rozpowiadam w braci gromie
Bajeczki prawdziwe!

Marta.

NA ZBÓJECKIM OSTROWIU

powieść

przez **M. Zielińską.**

(Dalszy ciąg).

— Pewny tego jestem! — z uniesieniem powtarzał niemłody ale żwawy Francuz — pewny jestem, a gorliwość, z jaką ów rządcą Hryczy przypomina mi w listach prawa tego dziecka przekonywa mię właśnie o tem: niema już dzisiaj na świecie sług tak wiernych, aby (bali w ten sposób o pańskie dzieci, nie mając w tem własnego interesu! To jest oszustwo! Irena była chora, i Marcyan urodził się chorym, i musiał umrzeć! A ja nie znam praw tamtejszych i nie wiem sam, co czynić należy aby sumiennie dopełnić obowiązku opieki nad małym Ernestem i jego mieniem. Muszę więc jechać na miejsce, zbadać okoliczności, porozumieć się z tamtejszymi prawnikami i wyświecić przedewszystkiem póki czas, aby nie przyszło do procesów, które już nie dają wielką fortunę pochłonęły: muszę!

Tak rozumował pan Orchard, człowiek sumienny, ale przytem serdecznie rozmiłowany w małym Ernestcie, synku ukochanej siostrzenicy. Ta to wielka miłość zaślepiała go i poddała mu owe wątpliwości co do Marcyana, którym opiekun uwierzył tak szczerze, że w imię jego przekonanie wpłynęło nawet na siostrę. Siolta a ta, babka małego Ernesta, kochała go także z całej duszy, jak zwykle babki, ale mimo to pragnęła wprzódby gorąco i drugiego wnuka dostać w swą opiekę i kochała go też z daleka; dopiero pod wpływem pana Orcharda serce jej ostygając zaczęło powoli dla nieznanego dziecka, bo rozmowy takie jak powyższa nieraz się powtarzały od czasu śmierci pana Ernesta, która nastąpiła wkrótce po jego przybyciu do Francji. Mimo więc, że podzieliła z czasem jego przekonania, babka wymogła na bracie, że odwłókił podróż swą do majątności wnuka, a to głównie dla tego, że koniecznie chciał jechać tam z Ernestem, w przekonaniu, że zupełna różnica pomiędzy dwoma chłopcami będzie jednym więcej dowodem oszustwa. Francuz nie wątpił wcale, iż jakiś chłopski dzieciak w owym wpół dzikim, jak sądził, kraju, musi być jak niebo do ziemi niepodobnym do ślicznego pieśczocho Ernesta, synka pięknej Ireny. A tymczasem babka stanowczo oparła się podróży tak dalekiej z dzieckiem podówczas dziesięcioletniem. Ostatecznie, gdy żadne z dwojga kochających opiekunów nie chciało odstąpić od swego, ułożono, że trzeba poczekać jeszcze lat kilka, ażeby Ernest łatwiej zniósł trudy podróży. Na tem stanęło. Dziad wujeczny i babka zamieszkali odtąd razem, wychowując ukochanego wnuka troskliwie, a w wolnych chwilach wiodąc z sobą nieskończone narady, dotyczące zawsze jego dobra, i owego dziecka tajemniczego na Polesiu, którego podstępni opiekunowie chcieli użyć za narzędzie do wzbogacenia się kosztem Ernesta.

Mały Ernest, jakkolwiek zajęty już nauką, słyszał przecież nieraz takie gawędy, przywykł do nich, i wzrastał w przekonaniu, że istnieje na świecie jakiś chłopak nieuczciwy i chciwy na pieniądze, który usiłuje podawać się za jego brata po to jedynie, aby zagrabić połowę jego własności. Ernest czuł nie tylko gniew ale i ciężki żal do tego chłopca, i to tembardziej, że pragnąłby był serdecznie mieć brata prawdziwego do kochania i do wspólnej nauki i zabawy, nieraz też ze łzami w oczach myślał, jaka to szkoda, że tego maleńkiego Marcyana już niema na świecie, a zły jakiś chłopiec zając chce jego miejsce.

— To jakiś szkaradny chłopiec — myślał sobie Ernest — i tamci inni ludzie starsi, którzy mu pomagają w tej sprawie napaści na mój majątek, muszą być wszyscy nic dobrego; słusznie mówią babcia i dziadzio, że trzeba załatwić tę sprawę jak się da najprędzej i sprzedać moje własności, choćby nawet ze stratą jakąś, byle tylko zabrawszy ich wartość nie mieć więcej do czynienia z niedobrymi ludźmi, i nieśnością

klimatem, i całym tym błotnistym, jak kałuża, zakątem ziemi, najszkaradniejszym z tego kraju, zwanego Polską, który i cały niezbyt jest miły, bo zimny i wilgotny i chmurny taki, że aż brrr!...

Tak sobie myślał chłopczyzna, sądzący o wszystkim według tego, co słyszał z rozmów prowadzonych w tym przedmiocie naokoło niego, nie wiedział, że ci, którzy tak mówili, sami wcale tego kraju nie znali, tylko żal mieli do niego za nieszczęście pani Ireny, jakkolwiek nie kraj to przecież temu był winien. Tak upływał czas i wkrótce Ernest zaczął rok cztertnasty.

III.

— No cóż, jest pisanie? A czytajże, czytaj, Hryczy!... może przecież będzie co o dziecku postanowionem! — Tak mówiła Hryczyzna, karmicielka, a potem opiekunka małego Marcyana w głębi Polesia, ilekroć Hryczy wracał do domu z najbliższego miasta, co zresztą bardzo się nieczęsto zdarzało, bo ogromna rozległość obszarów poleskich błotnistych i przez większą część roku zalanych wezbraną wodą rzek i jezior, tak, że tylko tak zwane „ostrowy” zamieszkałe gdzie-niegdzie, niby prawdziwe wyspy wyglądają z topieli, utrudniała niezmiernie komunikacyą.

Jeżeli list w imieniu pana Orcharda pisany a wkrótce już i od samego małego Ernesta, znajdował się istotnie na poczcie i Hryczy go przywoził, to kilku starych domowników rodziny Dębskich zbierało się w chacie Hryczego i ten od czytywał list głośno, a potem wyrozumiewano wspólnymi siłami mi jego tajemnicze znaczenie. Tajemniczem zaś było on istotnie już dla tego samego, że listy, odkąd sam pan Ernest umarł, były pisywane bardzo źle po polsku, najprzód przez starego Jana, zaufanego służącego pana Ernesta ojca, a potem nie lepiej przez Ernesta małego, więc trudno je było zrozumieć. Sam pan Orchard wcale po polsku nie umiał czytać, a i mały Ernest nie byłby umiał także, gdyby nie ów Jan, który w chłopczyźnie, wychowawcu swym potrocho ochotę do polskiej mowy rozbudził, głównie w tym celu, aby sam miał z kim po polsku pogadać, do czego stary Poleszta w Paryżu tęsknił, aż w nim „serce schło”, jak powiadał. Al Jan, choć jako tako umiał czytać i pisać, nie był przeciwnie wykształconym człowiekiem i sam już rodzinną mowę trochę zapominał, dla tego listy i jego i następnie jego ucznia Ernesta były bardzo niezrozumiale pisywane. Dziadzio i babcia wcale nie dbali o tę naukę, choć o kształcenie wnuczka w innych przedmiotach bardzo byli troskliwi. Wszystkiego polskie nie lubili.

Prócz tego, listy owe były tajemnicze i z tej jeszcze przyczyny, że pan Orchard, pod którego natchnieniem je pisywano, umyślnie ani wspominał w nich o małym Marcyan jakby o nim wiedzieć nie chciał, upominając się tylko o chody, dowiadując o różne inne okoliczności, dotyczące rządu, a resztę odkładając do swego osobistego na miejscu przyjazdu. Francuz sądził się bardzo dowcipnym i mądrym ale nie wiedział, że chłop poleski, uważany przezeń za nowego dzikiego człowieka, ma także swój spryt i rozum, przytępniony z usposobienia, jest też trochę chytry i podejrliwy. Zaraz po śmierci pana Ernesta i po pierwszych kilku listach pana Orcharda, Poleszcy, słuchający ich czytania, spojrzeli z pod brwi ponuro po swojemu jeden na drugiego i ten i ten po namyśle mruknął:

— Ejże, ej... ani słowa o „naszem” dziecku... żeby tylko ci obcy nie chcieli skrzywdzić?

Mało co więcej rozmawiano już później w tym przedmiocie, bo chłop poleski skąpy jest w słowa, ale myśl o pierwszym pozostała już w sercach. W kilka lat później, brawszy się oczyścić dla napisania ze swjej strony do pana Orcharda, przedstawili mu, że Marcyan ma już lat ośm, i „pańskie” dzieci w tych latach powinny już być na „pański sposób „oświecane”, jak to starzy pamiętali, że było z panem Ernestem, to jest „z nieboszczykiem panem”, a zatem pros

Hrabia Kazimierz Wodzicki.

aby cokolwiek co do Marcyana postanowionem było. Ale gdy i na to nie otrzymali innej odpowiedzi, jak tylko odłożenie wszystkiego do przyjazdu na miejsce samego opiekuna z młodym „dziedzicem”, tedy jeden z najstarszych Poleszków po namyśle machnął tylko ręką i mruknął:

— Niema co, chcą skrzywdzić... sierotę!

— To nie damy! — burknął inny, a wszyscy uroczyście, patrząc sobie wzajem w oczy, głowami kiwnęli. W taki sposób ustanowiła się nad Marcyanem opieka.

— Ale im przypominać trzeba?... — rzekł jakby pytając Hryczy.

— Trzeba! — odpowiedzieli na to wszyscy razem stanowczo, bo w chłopskich głowach, choć nieświadomych nauki prawa, zamajaczyło coś o „przedawnieniu” i postanowiono go unikać. Odtąd więc Hryczy pisywał za wspólną naradą daleko częściej do pana Orcharda, natarczywie przypominając mu o Marcyanie, i potrzebie dlań „oświaty pańskiej”. I ta to właśnie „chłopska” natarczywość przestraszyła tak opiekuna.

Hryczy, jakkolwiek prosty chłop Poleszuk, był przecież towarzyszem z lat dziecinnych pana Ernesta, ztąd to umiał on czytać i pisać i miał umysł więcej rozwinięty. Gdy pana Ernesta wcześniej wysłano na wyższe nauki do miasta, a potem i zagranicę, Hryczy pozostawał już ciągle we dworze na Dębowym Ostrowiu, jako prawa ręka „starego pana”, który chłopaka lubił zarówno, jak i sama pani, pomagał też Hryczy i ówczesnemu rządcy, i samemu „panu” w sprawach gospodarskiego zarządu. I dlatego to później w lat wiele, gdy na skutek rozrzutności bawiącego ciągle zagranicą pana Ernesta stary rządcą nie mógł już dać rady interesom i zawezwał pana na ratunek, grożąc mu zupełną ruiną majątkową, pan Ernest, polatawszy rzczy jak się dało, ofiarował rządcy starszskowi łaskawy chleb, a dawnego swego towarzysza Hryczego postanowił rządcą. Hryczy istotnie dobrą mógł mieć pieczę nad wszystkimi obszarami tej ziemi, składającej się z kilkunastu ostrowów, noszących rozmaite bardzo starożytne nazwy i rozrzuconych pośród jezior, rzek, strumieni i błot bezdennych prawie, po których przez większą część roku czółnami tylko przeprawić się można, a jedynie w najgorętsze letnie miesiące topielec to obsychają po części i po wierzchu pod działaniem słońca *). Obecny rządcą, choćby o wiele wykształcenijszy, nigdyby sobie nie dał rady w takich warunkach, w kraju, gdzie na nieświadomego za każdym fałszywym stąpieniem czyha okrutna śmierć w błocie, pochłaniającem każdy ciężar, a porośniętem w lecie na miłych obszarach bujną trawą w pas, wśród której tu i ówdzie „na ostrowach” udają się bogate zbiory zboża, jakich dalekoby szukać gdzieindziej na świecie. Łatwo też tam niezmiernie zabłądzić latem, nie tylko w tych zgubnych trawach, ale i w lasach ogromnych, choć są tylko szczątkami starych lasów; a zimą znów, gdy wszystko białym całunem jednakowo przykryje, a zadymka czyli śnieżyca stepowa wionie po tych obszarach, równie łatwo tam drogę zmylić i być zawiązanym na śmierć bez ratunku. W takim to kraju zakęcie, już samą swą naturą oddzielonym od reszty świata, żył młody Marcyan pod opieką sług swego rodu, a przede wszystkim i bezpośrednio pod opieką Hryczyny, dawniej wychowawicy żony rządcy, której powierzony został Marcyan z konieczności narychmiast po urodzeniu i już nadal chował się u niej razem z rówieśnicą swą, jej córeczką, małą Baśką.

(d. c. n.)

Podajemy wam dziś, czytelnicy, wizerunek osobliwszego miłośnika i wielce uczonego znawcy ptaków. Hrabia Kazimierz Wodzicki, zamieszkały w Galicyi, znany jest zaszczytnie wśród przyrodników w całej Europie, należy do wielu towarzystw naukowych, a odkrycia i spostrzeżenia, dokonane przez niego przy uważnem podpatrywaniu obyczajów rzeszy skrzydlatej, wysoko są cenione. Wydał on kilka tomików pod tytułem „Zapiski ornitologiczne”, w każdym tomiku opisuje innego ptaka, a zawsze swojskiego, gdyż są to wszystko owoce własnych spostrzeżeń autora. Ornitologią, od greckiego wrazu *ornithos*, ptak, nazywają część zoologii, opisującą ptactwo. Ponieważ dzieła hr. Wodzickiego nie są przeznaczone dla młodzieży, więc pragnąc dać o nich czytelnikom naszym ujęcie wyobrażenie, przytaczamy tu parę ustępów z tomiku o tych „Zapiskach”, zawierającego dokładny opis bociana.

„Długie lata, że wierzyłem w opisy i opowiadania o krwawych egzekucjach bocianów, tak mi się bajeczności wydawały; mimo mego niewiary, wyznać muszę, że im więcej poznawałem życie tych ciekawych ptaków, tem silniej moja ciekawość zaostrzoną była, szczególnie od lat dwunastu, w którychto latach, na miejscach zborowych, napotkałem kilkanaście zabitych bocianów. Między temi były małe i niedorodne, lecz i duże doskonałe ptaki; jedne miały okrągłe rany jak od kuli karabinowej, inne żadnego zewnętrznego znaku; czasem znów było wybite, pierze wyrwane i zmierzwiłone. Rzecz szczególna, że z tej wielkiej ilości egzekwowanych bocianów, które widziałem, żaden nie był od ptaków i zwierząt drapieżnych zjedzonym. Czy do tego mięsa miałyby wstręt, czyli też ten ptak w przyrodzie takie uszanowanie wzbudza, że nawet po śmierci szanują go drapieżne żyjątka, powiedzieć nie mogę; lecz zapisałem ten fakt, że trupy bocianów giną wolną dekompozycją przez zgniliznę i robactwo, nawet w tych okolicach, w których wielka była obfitość żarłocznych i ścierwem żyjących zwierząt i ptaków.”

„Roku 1849 ulewne a długotrwałe deszcze sprowadziły wylew Wisły. Wody z pagórków spadające w tej garbaty okolicy krakowskiej, niemogące się pomieścić w korytach rzek, strumieni i potoków, zalały wszystkie łąki, błonia i niziny, do tego stopnia, że od Podgórze do Niepołomic jedno zwierciadło wody przedstawiało się oczom. Było to dla ornitologa prawdziwe żniwo badań i spostrzeżeń. Gdy powietrze z deszczem wschodnio-północnym dosyć mocnym wiało długo, ilość znaczna północno-wschodnich ptaków nadleciała, nie mogąc się oprzeć prądowi wiatru i rozkaszowała na tem sztucznie utworzonym kilkomiłowem jeziorze, ptaków u nas dotąd niespostrzeżonych. Deszcz zaczął padać przed 5-tą Anną i padał do połowy Sierpnia. Bocianów termin sejmikowania naturalnie opóźnionym został, bo to zarozumne ptaki, aby się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo narażały. Dopiero gdy woda ustępować zaczęła, stada i stadka bocianów nadlatywały na zamulone niziny, dostarczające obfitego żeru dla wszystkich szkodliwych ptaków. Trzeba tu nadmienić, że między wielu miejscami zborowymi dla bocianów na brzegach Wisły, jest jedno ważne na płaszczyźnie Bierzanowa i Płaszowa; tam na błoniach corocznie odbywają się sejmiki przed wędrowką. Nie mogąc dla głębokości wody i znacznej przestrzeni pichota chodzić, a znając jak najdokładniej dyrekcyę rowów, wozem i chłopskimi końmi podjeżdżałem ptaki dosyć blisko, które się wcale nie trwożyły przed tym zaprzęgiem i dozwalały mi wygodnie spostrzeżenia robić. Bociany gromadkami niezbyt licznymi nadlatywały około 20 Sierpnia, i za każdą moją wycieczką więcej ich widziałem. Dopiero gdy woda zupełnie ustąpiła, jednego poranku spotkałem kilkaset razem; bawiły dni kilka i najciekawszy widok przedstawiały. Zupełnie jak wojsko w obozie, tak moje bociany roztasowały się na obszernem błoniu: tu stadko z 15 do 20 razem stojące jakgdyby w naradzie; tam gromadka z kilkudziesięciu złożona, szeregiem chodząc zerowała,

*) Obecnie dopiero z wielką sztuką, kosztem, i ciężką pracą, błota te „pińskie” tak zwane, osuszane są sztucznie i kolej żelazna budowana jest w tych okolicach.

widać że długą podróżą wygłodzona; w innym miejscu 6 do 7, oczywiście rodzina stroniąca jeszcze od towarzystwa; gdzieś pomiędzy hurmami pojedyncze bociany, oczywiście doskonale ptaki, poważnym krokiem obchodziły

no, te bociany nie brały w nich żadnego udziału i swego stanowiska nie opuszczały. Przez cały czas trwania zboru z innymi się nie pobratały, ani razu nie widziałem ich kołujących ani wznoszących się w powietrze, oprócz przelotów



Kazimierz hr. Wodzicki.

hurmy jak dozorczy, warty lub na służbie ptaki, zamyślane jakdyby cała organizacja bocianów i podróż w oddalone kraje na ich głowie spoczywała. Grupy powyż wymienione pomnażały się przybytkiem, lub zmniejszały się ubytkiem, to z bocianów nadlatujących, to znowu z zabranych znajomości. Jedna tylko grupa przedstawiała ciekawy widok koteryi stroniącej od towarzystwa. Grupa ta, ile razy nie żerowały ptaki, złożona z 30 do 40 bocianów, rzędem opanowała wał od przekopów i godziny całe nieruchomie siedziały ptaki, istni widowie tego obozu; nawet gdy krwawe egzekucje odbywa-

z miejsca na miejsce za żerem, zawsze były na tem samym miejscu. Oczywiście to bociany z odległych okolic, mające inne zwyczaje; zdarzenia tego nigdy ani pierwój ani później już więcej nie spostrzegłem. Każdego poranku wyjeżdżałem z lunetą i całe godziny siedząc spokojnie, patrzyłem z niewyczerpaną ciekawością na te ptaki organizujące się jak rozumne istoty, a codziem przedstawiało to zgromadzenie inny widok. W tej hurmie złożonej pewnie z 300 do 500 bocianów było dosyć ptaków biednych, schorzałych, z nieczystym pierzem, z opuszczonemi skrzydłami, a co do wzrostu mniej-

szych od innych. Te ptaki istne Benjaminki, wyklute o ośm dni później niż drugie, głodzone przez żarłoczne rodzeństwo, na gnieździe wtedy tylko dorastają innych, gdy pora im sprzyja i zamieszkują miejscowość obfitą w żer. Po trzech dniach pojedyncze kółka nikły, gromady się powiększały, koło każdej hurmy chodzili pojedyncze bociany na warcie, li grupa moich bocianów siedzi niewzruszona na wale okopu i do samego odlotu nie pobratały się z towarzysztem. Czwartego dnia tego najliczniejszego zboru, jaki dotąd widziałem, spostrzegłem w rannych godzinach kółko kilkudziesięciu bocianów, w środku którego stał jeden z tych niedoro-

głem zobaczyć. Zastałem zakrwawionego bociana z okrągłymi ranami od dziobów na całym ciele, jedno oko wyklute miał i wiele pierza leżało wokoło. Cały dzień od tego dawniej ulubionego miejsca stroniły bociany do samej nocy, jakby trapione od wyrzutów sumienia i w obrzydzeniu przed trupem; drugiego dnia ciekawi aktorowie, którzy mi odegrali ten zajmujący dramat, odlecieli i mój teatr zastałem zupełnie pustym. Był to 1 Września, już termin odlotu zatem spóźniony."

"Roku 1850 podobną egzekucją widziałem naocznie, lecz ta się odbyła bez sądu i ceremonii. Była to sroga kara-



Fosforescencya morza.

nych bocianów z opuszczonemi skrzydłami, niespokojnie oglądający na wszystkie strony; wokoło egzekwenta bociana stały spokojnie, lub też przechodziły się, lecz koło zamiataniem zawsze było. Po pół godzinie wszczął się wielki ruch; już pojedynczych ptaków dojrzeć nie mogłem, tak gęsto się bociany kręciły, i niebawem w kilka minut wszystkie, jak za danem hasłem, z tego samego miejsca zerwały się szybko nad ziemią odleciawszy kilkaset kroków, znowu spokojnie usiadły. Widząc biały przedmiot na miejscu opuszczonym, zabłysło w mój myśli wspomnienie o egzekucyi i po nie-

śpiesznie i z energią wykonana. Bocianów przeszło sto zerowało spokojnie na łące, w jednej chwili za przykładem starszego, jak się zdaje, szefa, który pchnął swego sąsiada dziobem, cała gromada z wściekłością rzuciła się na biedną ofiarę i zabiła ją w oka mgnieniu. Ta zaciętość była tak rozjątrzona, że kilku bocianów leżącego trupa dziobem kłuło, podrzucało naprzód, nareszcie do pobliskiej fosi wrzuciło i tam jeszcze nogami tratowało. Egzekwowany bocian musiał się dopuścić ciężkiej obrazy lub popełnił wielkie nieposłuszeństwo, bo wszyscy byli sędziami i egzekwentami. Natu-

ralnie jako obecny ornitolog spisałem zaraz protokół, obejrawszy zabitego bociana, który nie był wcale z tych niedorosłych biedaków, owszem był wykształconym, dużym i silnym ptakiem. Po tej egzekucyi, jak się zdaje zasłużonej i sprawiedliwszej od pierwszej, bociany wesoło ocierały dzioby i do samego wieczora pozostały na tej samej łące, nie brzydząc się jak tamte trupem. To zdarzenie, jak i to co niżej opiszę, dowodzi, że bociany nie tylko zabijają niedorodnych i do podróży niezdatnych, lecz i takich, co obrażają władzę."

"Przy końcu Sierpnia, nie mam dnia zapisanego, r. 1844, krążyło liczne stado bocianów w powietrzu, a to tak znacznie, z taką gracją, że oka oderwać nie mogłem przez kilka godzin od tego zajmującego widoku. Patrzyłem więc długi czas, jak już stokrotnie robiłem, i byłem jak zawsze sownie wynagrodzonym. Stado coraz się wyżej rozbijało; bocian jeden nie mógł im zrównać w tem górnem kołowaniu i krążył górowany gromadą bocianów; nareszcie uderzały na niego towarzysze coraz liczniej, spędzały go niżej ku ziemi; razami raniony bocian tracił równowagę, opuszczał skrzydła i szyję, w końcu upadł na ziemię. Bociany spuściły się za nim, usiadły w bliskości i na śmierć zadziobały. Po chwilkę odleciały, pokrażyły nad trupem i dalej w podróż się puściły. To zjawienie jest tem ciekawsze, że się zdarzyło w okolicy górzystej, gdzie bociany gniazd nigdy nie ścielą; były to zapewne ptaki w podróży, i w podróży jednego towarzysza śmiercią ukarały. Musiał delikwent albo przewinić, albo też polot ich wstrzymać."

"Przypominam sobie znaczny zbór bocianów w obwodzie Stryjskim w dniu 18 Sierpnia 1868, trwał on dni trzy, zdawała się na nim panować zgoda i porozumienie; gdy zaś 19 jechałem na polowanie, spostrzegłem zabitego bociana na polu. Świeży to był trup, miał wiele pierza obskubanego i pomiętoszonego, cały zwalany, lecz śladów ran znaleźć nie mogłem. W życiu mojem ornitologicznem i myśliwskim kilkanaście zabitych, a niezastrzelonych bocianów znalazłem, niektóre po odbytem zgromadzeniu, inne bez uwiadomienia o temże, a zawsze w czasie odlotu tych ptaków. Również mam kilka wypadków zanotowanych, że się pojawił bocian tam, gdzie go nie bywało, najczęściej zmęczony, niezdolny do lotu, jak to mówią, mocno poturbowany, niemogący nawet przed zdążającym ku niemu człowiekiem uciekać. Są to ofiary surowości bocianów, lecących w pośpiechu, a niemogących na śmierć zabić delikwenta, więc go mocno poszturkają, czasem skrzydło złamią i zmuszą do opuszczenia podróżującego stada. Te zdarzenia jasno dowodzą, że egzekucye odbywają się w powietrzu i na ziemi."

Z zajęciem zapewne także każdy przeczyta opowiadanie następujące:

"Roku 1850 we wsi Piotrkowicach pod Proszowicami, bocian osłabiony i pewnie wątpiący o swęj sile do wytrzymywania podróży dalekiej, a dosyć przemyślny, aby się usunąć przed strasznym sądem swych niemiłosiernych kolegów, odłączył się od latającej rodziny i zajął ogród na mieszkanie. Z początku stronił od ludzi, później zaś pożywienie z rąk ogrodniczka brał i z torby podanej z żabami wybierał je jak koń fiakerski owies; uwagę tu zrobić muszę, że to ptak z niepospolitym apetytem: razu jednego narachowałem 36 żab, które połknął jedną po drugiej. Ku jesieni zrejterował pod dach, a później sam drogę do kuchni znalazł i całą zimę swobodnie między czeladzią przebył. Wszyscy go lubili, wszyscy karmili; nawet psy uważały bociana za dworskiego, a on wywdzięczając się, kłapał dziobem. Tak minęła nasza smutna i długa zima. Przy pierwszej woni wiosennej bocian opuścił kuchnię i znowu się przeniósł na letnie mieszkanie, jak my wszyscy myśleli, do ogrodu. Lecz inaczej się stało. Bocian wyszedłszy, był bardzo niespokojny, próbował skrzydeł, klekotał dziobem, patrząc w obłoki i podlatywał; później dopiero przekonał się, że to były oznaki tęsknoty, gdy pod firmamentem bociany ciągnęły, a nasze ludzkie oko dostrzedz ich nie mogło; nareszcie podleciał, wzbił się wysoko, pokrażył, wrócił jak na pożegnanie na zieleniejący trawnik

przed domem, silnie zakłapał dziobem, podniósł się i znikł. Ostatnich dni Sierpnia w czasie ciągu przyleciał sam, z ludźmi był tak oswojony, jakgdyby ani na chwilę zimowego stanowiska nie był opuszczał. Bawił dni kilka i wszyscy myśleli, że zleciał na zimę. Lecz mój bocian dzień cały chodził i patrzył w górę; niejedno stado towarzyszy przeleciało nad nim, on się zabierał do lotu, a na ziemi zostawał; nareszcie dnia jednego nad wieczorem gromada liczna krążyła nad wsią, bocian podleciał, dogonił i powędrował. Może w tej gromadzie była samiczka i dorosłe pisklęta, nie można było odmówić! Ja posądzałem boćka, że w tych dniach wielką walkę stoczył z sobą, bo to miłe ciepło kuchni, ta żywność tak regularnie dostarczana, ludzie wszyscy dobrego i spokojnego usposobienia, jednym słowem przezimowanie bez trudów i niebezpieczeństw, a z drugiej strony daleka podróży, przebywanie morza, a ten sąd straszny — to więc musiało kusić mądrego ptaka. Lecz poleciał, bo prawa są kajdanami pożytecznymi, niełatwymi do zdjęcia, a ich wykonawcą jest to, co nazywamy instynktem. W Marcu roku przyszłego, gdy nasza kalendarzowa wiosna tak każdemu dokucza, prawdziwa radość była we dworze, gdy ujrzano znajomego bociana. Pięknie i elegancko wypierzony, biały jak śnieg, a grzeczny i łaskawy, każdego poznawał, każdemu zaklekotał dziobem i jak pan domu kroczy ku kuchni i tam przed ogniem na ulubionem swem miejscu obraca się jak pieczeń na rożnie, susząc przeziębnięte członki, trzepoce skrzydłami, gdy wołają *bocius!*, wdzięczny, że o nim nie zapomniano; bawił do pierwszych ciepłych dni i poleciał — poleciał i już nie wrócił. Biedny boćku! ty może zginąłeś! może ci towarzyszka wrócić już nie pozwoliła, a my ciebie tak podziwiali, tak pragnęli, jeszcze cię widzieć, ty mądry i wdzięczny ptaku!"

FOSFORESCENCYA MORZA.

Nieraz już opowiadaliśmy czytelnikom naszym o wspólnym zjawisku przyrody, przedstawionem na rysunku dobiejszym. To piękne, bladawe światło, którem płonie całe morze wśród nocy pogodnych, wydawane jest przez żyjącą istotę, i większe, jak ryby, mięczaki, skorupiaki, i malutkie drobnowidzowie, to jest widzialne tylko przez szkła powiększające. Kto widział robaczki świętojańskie, ten ma o tym zjawisku niejaki wyobrażenie. Otóż wyobraźmy sobie, patrząc takich świecących istot miliardy zaludniają morskie otchłynie i blaskiem swoim rozjaśniają fale. Widok to musi być czarujący, opisywali go nieraz żeglarze, rysunek słabe zjawne tylko wyobrażenie dać o nim może.

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieńczona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

Przełożył z angielskiego

HENRYK WERNIC.

(Dalszy ciąg).

Od tego wydarzenia upłynęło jeszcze kilka tygodni, a znowa trwała w całej swęj sile. Wreszcie w połowie Grudnia rozeszła się wieść o zgodzie, mającej nastąpić

ędzy robotnikami i właścicielami kopalni. Niebawem oznano nawet dzień, w którym wszyscy robotnicy bezwzględnie mieli zająć swe dawne stanowiska. Pomyślna ta wiadomość wprawdzie przejęła radością wiele rodzin, których zapasy zupełnie już zostały wyczerpane, tem więcej, że do świąt Bożego Narodzenia było już bardzo niedaleko. Do ich rzędu należała i rodzina Taylor'ów.

W dniu przeznaczonym na rozpoczęcie pracy w kopalniach Tomasz i Benjamin z braskiem dnia byli już gotowi do wyjścia z domu. Tomasz, trzymając za rękę Benjamina, obiegł do stajni, do której już poprzedzającego dnia sprowadzono muła i zajął się włożeniem uprzęży na ulubionego muła Billy. Wkrótce też znalazło się tu kilkunastu chłopców, wydających okrzyki radości, jakich te potulne zwierzęta oddawna nie słyszały.

— Do roboty! — zawołał Tomasz, zaczepiając hak swojego muła o pierwszy wóz z rzędu i skierował go na prawo.

— Jedźcie prosto, nie zbaczajcie z drogi — wołał druhłopak, zaczepiając swój hak o wóz następny.

— Wszystkich was wyprzedzę — zawołał silny chłopak Donelly — chociaż najpóźniej wyjeżdżam — to rzekłszy, derzył biczem muła Tomasza. Zwierzę, nie przyzwyczajone do takiego obchodzenia, zaczęło wierzgać nogami i omało je wywróciło wozu, w którym siedział Benjamin.

— Biedny Billy — zawołał Tomasz, powstrzymując Benjamina od upadku, poczem gwizdnawszy szybko ruszył do miejsca. Cały ten tabor wozów posuwał się wkrótce po powhłości, prowadzącej do wnętrza kopalni, pośród okrzyków, nasładowujących głos dzwonu, huk bębna, świstanie lokomotywy. Jakże szczęśliwi byli chłopcy tego poranka, szczególnie był nawet Benjamin, chociaż biedny nic nie widział. Mogli teraz znów pracować w ponurych podziemiach kopalni do świtu aż do wieczora. Byli szczęśliwi, bo byli młodzi, niewinni i zadowoleni ze swego losu; najszczęśliwszym wszakże z nich był Tomasz, bo nie dręczyły go wyrzuty sumienia, doznawał przyjemności wyższego rzędu, jaką nam sprawia pełnienie swego obowiązku. Chwilami trapiła go obawa zemsty, jaką mu zagroził Jakób Reunie, lecz po upływie pełnego czasu zupełnie o tem zapomniał.

Jego muł Billy także był wesołym usposobieniu, ochętnie ciągnął wóz po spadzistości, zręcznie skręcając tam, gdzie jadzie skręcić wypadało; wreszcie zatrzymał się u wrót, przy których Benjamin zszedł z wozu dla pełnienia swego obowiązku. Do południa Tomasz trzy razy przejechał przez wrota z naładowanym wozem, a kiedy po raz czwarty wjeżdżał, zatrzymał się, zsiadł z wozu i usiadł na ławce obok Benjamina. Dwaj bracia wspólnie spożyli obiad, przygotowany przez dobrą ich matkę. Tomasz ciągle w dobrym był humorze, wesoły, dowcipny, starał się rozerwać swego brata, który w tej chwili jakoś nadzwyczajnie był poważny. Siedział on przez kilka godzin w milczeniu i samotności, przerywanej od czasu do czasu turkotem jadącego wozu; wszakże oprócz tego inne smutne myśli trapiły jego umysł. Po skończeniu obiadu powiedział Tomaszowi, że ilekroć wszystko naokoło niego się uciszało, słyszał jakiś złowrogi szmer podziemny. To była przyczyna jego przestachu i niepokoju.

— Wiesz, że niczego się nie lękam — mówił do brata — ale przestrasza mnie sama myśl, iż kopalnia zawałi się może.

— Poczekaj, nic nie mów przez chwilę, może i ja ten szmer usłyszę.

Chłopcy na chwilę zupełnie umilkli; i rzeczywiście poróżd ogarniającej ich ciszy usłyszeli pod ziemią jakby przeszczenie łamanych gałęzi.

Niebezpieczeństwo było groźne. Ciśnienie górnych warstw na zbyt cienkie słupy galeryi objawiło się właściwym ostatnim przeszczeniem. Górnicy, pracujący w kopalniach, mając dobrze podobne zjawisko i wiedząc, że jest ono złowrogią zapowiedzią zbliżającej się katastrofy. W takich zdarzeniach jedno z dwojga wybierać należy, albo podeprzeć sklepienie grubymi drewnianymi belkami, albo bezwzględnie

przygotować się na to, że sklepienie prędej lub później zapaść się musi.

Tomasz, choć młody, ale doświadczony górnik, dobrze wiedział, co to miało znaczyć, lecz wiedział także, że podobny szmer daje się słyszeć nieraz bardzo długo, kilka nawet miesięcy, zanim nastąpi zawałenie. Pomimo tego, jeszcze w tym samym dniu Tomasz dał znać o tem sztygarowi. Sztygar przybył na miejsce, przyjrzał się sklepieniu, kolumnom i wyraził zdanie, że na razie nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ale przyobiecał, iż nazajutrz każe podeprzeć sklepienie belkami.

— Józef Trawis mówił mi, że widział szczury uciekające z kopalni, rzekł Tomasz do Benjamina po odejściu sztygara.

— Jeśli tak — odparł Benjamin — to niezawodnie wkrótce nastąpi zawałenie kopalni.

Nieraz już słyszał on podobne zdanie od doświadczonych górników, którzy wierzą, że szczury, powodowane instynktem, opuszczają kopalnię, grożącą zawałeniem. Podobnie twierdzą żeglarze, że szczury wychodzą ze swego ukrycia na pokład okrętu wówczas, kiedy okręt ma utonąć.

— Jeśli szczury uciekają — rzekł Benjamin — to wielki czas, żebyśmy wszyscy opuścili kopalnię.

Widocznie chłopiec przeczuwał nieszczęście. Wszakże chociaż czas bardzo mu wolno upływał, musiał jeszcze kilka godzin pozostać na swem stanowisku, oczekując ukończenia całodzienniej pracy. Wreszcie z wielką radością usłyszał turkot wozu Tomasza i głos jego, zwiastujący, że chwila ukończenia robót nastąpiła.

— Podaj mi koszyk z naczyniami obiadowymi — zawołał Tomasz do Benjamina, kiedy ostatni wóz przejechał przez wrota. — Stój, Billy — zawołał na muła, który nie czekając na swego przewodnika, szybkim krokiem oddalał się od wrót. — Chodźże prędko, Benjaminie, daj mi rękę, musimy teraz biedz, aby go dopędzić.

W chwili kiedy jeszcze ostatnie wyrazy nie przebrzmiały, obaj chłopcy uczyli tak silny prąd powietrza, jakby przeszedł orkan. Towarzyszył temu straszny huk, podobny do uderzenia pioruna, wstrząsający podwalinami całej kopalni. Prąd powietrza pchnął obu chłopców na wrota, które pod ich ciśnieniem trochę się otworzyły. Straszny huk tysiąc razy mroźniej echem, wreszcie głęboka zapanowała cisza. Podobnie znaczna część kopalni runąć musiała.

Ochłonawszy z przerażenia, Tomasz cichym głosem zawołał: „Benjaminie!” a nie usłyszawszy odpowiedzi, ponowił głośniejsze swe wołania, lecz i tym razem nic nie prze-grobowego milczenia; w najwyższym stopniu zatrwożony wymówił tak głośnie jak mógł poraz trzeci imię swego brata. Kiedy zaś i teraz nie otrzymał odpowiedzi, powstał, oparł się o wrota, czuł, że robi mu się słabo i doznaje silnego zawrotu głowy. Był on skaleczony, krew spływała mu z policzka i rąk, ale o tem nic nie wiedział, a gdyby i wiedział, to nie zwróciłby na to żadnej uwagi, gdyż jedynie myślał o Benjaminie, który może już postradał życie. Było zupełnie ciemno, bo lampa zagasła, ale przypomniał sobie, że miał zapalną w kieszeni. Wyjął jedną, lecz chwilę się zatrzymał, obawiając się widoku, jaki mógł ujrzeć przy jej świetle. Potarł wreszcie zapalną, a najpierwszą rzeczą, jaką spostrzegł, była czapka, leżąca u nóg jego z przywiązaną lampą. Zapalił ją i spojrzał przed siebie. Z drugiej strony wrót leżał Benjamin na boku. Tomasz pochylił się nad nim, oświetlił lampą jego oblicze, a w tej chwili ociemniały chłopiec, otworzywszy powieki, głęboko odetchnął, następnie poruszył rękami i usiłował powstać, wymawiając cichym głosem „Tomaszu”.

— Czyś skaleczony, Benjaminie? — zawołał Tomasz z czułością.

— Sam nie wiem. Co to było, Tomaszu? Zdaje mi się, że się sklepienie zapadło.

— Czy możesz powstać? ... czekaj... dopomogę ci.

Benjamin powstał, widocznie otrzymał tylko nieznaczne obrażenie. Obaj chłopcy, dzięki ustępującym pod ich naciskiem wrotom, oprócz kilku siniaków i lekkich skaleczeń, wyszli z tego strasznego wydarzenia prawie bez żadnego szwanku.

— Czy masz lampę, Tomasz — rzekł Benjamin.

— Właśnie ją znalazłem — odpowiedział zagadnięty — podaj mi rękę, pójdziemy do domu.

Wziąwszy Benjaminą za rękę, Tomasz zwrócił się ku wyjściu, lecz postąpiwszy kilkadziesiąt kroków, ujrzał je zatarasowane od góry do dołu odłamami skał i wielkich kamieni. Były to skutki zawalenia, które w jednej chwili oddzieliło ich od muła i wozów. Musieli szukać innej drogi.

— Pójdźmy tędy — rzekł Tomasz, zwróciwszy się w inną stronę. Poczem zapuszczał światło lampy do kilku galeryj, schodzących się w tem miejscu, lecz niestety, przekonał się, że i one były zawalone.

— Pójdźmy do starego korytarza, prowadzącego do opuszczonych komór — rzekł wreszcie Tomasz. Głos jego był drżący, niepewny, a strasne uczucie trapić go zaczęło. Wiedział, że jeśli istotnie zawaliło się sklepienie, wznoszące się ponad opuszczonemi komorami, co było bardzo prawdopodobne, to nie pozostawało dla nich żadnego ratunku, żadnej nadziei ocalenia. W tym razie los ich byłby gorszy, niż sama śmierć.

Chłopcy, trzymając się za ręce, weszli w korytarz, ostrożnie postępując po stosach węgla, jakie częściowo tamowały wejście; przeszli cały rząd opuszczonych komór, poza któremi grunt był równy, wreszcie znaleźli się i tu w obec odłamów skał, tamujących dalszą drogę. Wtem Tomasz ujrzał z boku jeszcze jedną galeryę. Może ta droga jest swobodna, myślał sobie, może będzie można dostać się nią do wyjścia, i nadzieja wstąpiła w duszę jego. Weszli w galeryę, ale zaledwie postąpili kilka kroków, Tomasz napotkał i tu skały, tamujące dalszy pochód. Ujrzawszy to, zatrzymał się, nie wiedząc co począć, a Benjamin zapytał, dlaczego nie postępują dalej.

Tomasz z cicha wyszeptał „nie można”. Czuł się tak osłabiony zawodem, jakiego doznał, że nogi pod nim drżały; usiadł więc na kamieniu i przyciągnął ku sobie swojego brata. Benjamin usiadł przy Tomasz, ale jakkolwiek trapiłony wielkim niepokojem, rzekł, pocieszając go:

— Tomasz, nie trać odwagi, gorzej byłoby, gdyby to nieszczeście spotkało tylko jednego z nas. Jabym chciał być tym jednym, bo mama nie przeżyłaby, gdybyśmy o zginęli.

Pocziwi chłopcy! dotąd ani jednej łzy nie uronili na swoim nieszczęściem. Lecz na wzmiankę o swęj matkę obaj zaczęli płakać, tak iż przez kilka minut w tem podziemiu rozlegał się jedynie płacz i narzekania. Pierwszy przystał płakać Tomasz. Czuł on dobrze, jaka ciężka na nim odpowiedzialność za całość i bezpieczeństwo brata. Wiedział, że im kto więcej płacze, tem bardziej się osłabia i tem mniej zdolny jest do czynu, oraz, że im mniej pozwala pokonać się nieszczęściu, tem pewniej liczyć może na ocalenie. Nadto czuł dobrze, że obowiązkiem jego, jako starszego brata, było udawać w obec młodszego wesołość i odwagę; otarł więc łzy, pokonał przestrasz i zaczął uspakajać Benjaminą. Tak postępując, sam nabierał odwagi i z całą mocą postanowił mężnie znieść to, co ich czekało.

(d. c. n.)

ZAGADKA (Ewa Marya).

Wprost przeczytane litery trzy
Składają nazwę, co ostro brzmi,
A znaczy rozdół, wąż szeroki;
Nadbrzeżne jego, nierówne stoki
Stroją się w głogi, tarnie, kaliny.
Śpiewał, śnił o nim wieszcz Ukrainy,
Wzdychając ze łzą do swoich stron,
Nim go wśród obcych ukoił skon.
Może od stepów uleciał tam,
Gdzie wschodzą łuki tęczowych bram,
Znalazł krainę, co zwie się tak,
Jak ten sam wyraz czytany wspak.

Łamigłówka zegarek.

(Od Lisa z Mazowsza dla Figielka).

Ułożyć w kształcie zegarka 12 wyrazów sześciogłoskowych, zaczynających się od R. Znaczenie wyrazów: 1. Zaburzenie w kraju. 2. Część ubrania. 3. Imię męskie. 4. Uмова wojenna. 5. Rzeczownik męzki w 5-tym przypadku. 6. Wóz starożytny. 7. Imię męskie. 8. Faraon egipski. 9. Zastępca monarchy. 10. Przydomek jednego z Potockich. 11. Rodzaj sprężyny. 12. Zasłona okien. Końcowe litery utworzą imię i przydomek króla polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 6 go.

Szarady:

Kar — pa — ty.

Łamigłówki w kwadraciku:

M	a	r	z	e	C
k	O	n	c	H	a
t	r	Z	O	d	a
z	a	P	A	c	h
s	I	g	u	R	d
N	a	r	b	u	T

Mozart — Chopin.

TREŚĆ: Na swojską nutę p. Martę. — Na zbójckim Ostrowiu, powieść p. M. Zielińską. — Hrabia Kazimierz Wodziecki (z drzew.) — Fosforescencya morza (z drzew.) — Brat ociemniały, powieść Homera Green'a, przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Łamigłówki i rozwiązanania. **Dodatek.** Niewdzięczny Dżoko (z drzew.) — Domek, wiersz p. Maryą Leonę. — Wzorowe dzieci p. Zetem. — Łakoma Mania, opowiedziała Wiochna z pod Lublina. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.

NIEWDZIĘCZNY DŻOKO.

Pewien oficer marynarki, będąc w Indjach, kupił tam młodego orangutana i zabrał go na okręt. Dał mu imię Dżoko, troskliwie się nim opiekował, a ponieważ podróże morskie są dosyć nudne, więc rad był jakakolwiek mieć rozrywkę. Wszyscy żeglarze i pasażerowie na tym okręcie polubili Dżoka, dostawał też dużo przysmaków, miał wszelkie wygody, dobrze mu było bardzo.

taki dobry i troskliwy. Złośliwy orangutan poszedł do kajuty oficera, zaczął wyciągać z kątów i kącików rozmaite złożone tam przedmioty i wszystko, co tylko mógł złapać, powyrzucał przez okno w morze. A były tam rzeczy bardzo cenne, piękne książki, broń, różne przyrządy, ubranie nawet, wiszące na kołkach, stało się pastwą złości Dżoka.

Możecie sobie wyobrazić zmartwienie marynarza, gdy zastał takie spustoszenie w swojej kajucie i Dżoka, tego Dżoka, którego tak lubił, pieścił, przysmaczkami



Niewdzięczny Dżoko.

Ale pan Dżoka wymagał jednak od niego pewnego posłuszeństwa, ile razy młody orangutan ruszył coś bez pozwolenia, uwiązywał go za karę na sznurku; pozwalała mu łązić po masztach, zręczne skoki Dżoka bawiły nawet wszystkich, ale pan chciał go przyuczyć, aby na zawołanie natychmiast przychodził. Tego zaś Dżoko nie lubił, gdy wdrapał się na szczyt najwyższego masztu, i kołysał się na nim zgrabnie, a pan zawołał, on różne miny pokazywał i ani myślał usłuchać. I za to także był karany, bardzo słusznie, bo posłuszeństwo potrzebne jest nawet zwierzętom.

Otóż raz Dżoko, otrzymawszy karę za jakąś sprawkę naganną, zamiast upokorzyć się i poprawić, postanowił się zemścić na swoim panu, który był dla niego

karmił, na gorącym uczynku pochwycił. Był to jednak człowiek łagodny i rozsądny, to też nie przyszło mu nawet na myśl, aby się zemścić na bezrozumnym zwierzęciu, chociaż niejednen z kolegów marynarzy mówił, że gdyby to jemu się zdarzyło, toby niegodziwego orangutana na śmierć zabił.

Ale pan Dżoka nawet go nie wybił, tylko uwiązał na mocnym łańcuszku i tak już musiał Dżoko siedzieć ciągle, póki okręt nie przybył do większego portowego miasta. W mieście tem znajdowała się właśnie menażerya; ponieważ marynarz przekonał się, że z nieposłusznego i złośliwego Dżoka mieć nie będzie pociechy, więc go sprzedał do menażeryi.

Tam wprawdzie pamiętali o tem, aby orangutan

miął co jeść i nie zginął z nędzy i niewygód; ale jakież to smutne było życie! Obawiając się, aby nie uciekł i jakich psot nie powyrządzał w mieście, trzymano go nieustannie w klatce. O pieszczotach, zabawach, przysmaczkach, nigdy mowy nie było. Biedny Dżoko musiał to nawet w zwierzęcej swojej główce zrozumieć, że źle zrobił i za własne winy ciężką ponosił karę. Tak to zwykle niewdzięcznikom bywa.

DOMEK.

Julek stawiał domki, Stefcia wciąż się snuła,
Rozrzucając bratu mozolną robotę;
Julek ją odepchnął: „A będziesz mi psuła?...
A idźże odemnie!... Masz za swoją psotę!”

Stefcia w płacz uderza, mama usłyszała:
„Jakiś ty niedobry dla biednej dzieciny!
Stefcia nie rozumie, ona jeszcze mała,
Czyż ładnie, że siostra płacze z twój przyczyny?”

„A poco mi Stefcia ciągle szkodę czyni?
Nad ustawianiem domku tak się namęczyłem”.
„O! sztuka być dobrym, gdy nikt nie zawini!
Gdy wszystko wokoło łatwym ci i miłym!

Zresztą, do budowy czyliż gniew pomoże?
Zepsuto ci domek?... stawiaj go na nowo,
Przy wprawie piękniejszym go uczynisz może”...
Julek mądry chłopczyk... pojął matki słowo,

Julek się wesoło bierze do roboty,
Wnet pałacyk z klocków trzypiętrowy staje,
Stefcia ucieszona psuć nie ma ochoty,
Pierwsza arcydzieło braciszka uznaje.

Marya Leona.

WZOROWE DZIECI.

— Słuchajno, Fuchna — rzekł do siostry Eufemii braciszek Oleś, który choć nieduży i niezbyt mądry, przecież miał tę zaletę, że zawsze chętnie o tem myślał, by siostrze zrobić przyjemność — dzisiaj jest niedziela i żadnych lekcyj nie mamy... możebyśmy zatem wolnym czasem wyprawili tobie porządne wesele?...
— Jakie wesele? — spytała malutka Fuchna zdziwiona.
— Jakto, jakie? Przecież widziałas przed kilku dniami, jak stangret z pokojówką wyprawiali sobie wesele: on i jego przyjaciele drużby przypięli bukiety, a ona włożyła wieniec na głowę, a jój przyjaciółki włożyły kwiaty i wszyscy tańcowali; i my tak zrobmy.
— Masz racją — rzecze Fuchna — to będzie bardzo zabawnie.

I wszystko się tak zrobiło, i jeszcze w dodatku mama dała bułeczek z szynką do herbaty, a wprzód ciasteczek z kawą, dowiedziawszy się, o co to chodzi.

Dzieci jadły, śmiały się i tańcowały, bo oczywiście i Fuchna i Oleś zaprosili na wesele swoich znajomych:

— Otóż to prawdziwe wesele, bo wszystkim jest wesoło — rzekł Julek.

— Nie koniecznie wszystkim — rzecze niańka Stachowa, pilnująca dzieci. — Oto Franek stróża patrzy na was, dziateczki, a ślinkę łyka z daleka.

— Czy doprawdy? — spyta Julek, najstarszy z dzieci. — I czegoż ty ślinkę łykasz, Franku? Czy chcesz ciasteczek?... oto masz!... — i dał mu swoje.

— Nie — odrzeczcie Julek — smaczna jest szynka z bułeczką, i ciastko jest jeszcze smaczniejsze, i ja bardzo paniczowi za nie dziękuję... ale mnie nie o jedzenie idzie, tylko o to, że panicze i panienki tak grzeczni jesteście wzajem dla siebie i tak ładnie śpiewacie, i rozmawiacie z sobą, aż przyjemnie słuchać, bo żadne drugiemu niemiłego słówka nie powie. A my z Antkiem od ogrodnika, jak się tylko w niedzielę bawić zaczniemy, to się zaraz pokłócić musimy.

— A wiesz, dlaczego tak jest? — powie Józio — oto dlatego, że my czytamy książeczki, które uczą grzeczności i rozumu: jeżeli chcesz, to ja tobie pożyczę taką jedną książeczkę, tylko mi nie podrzyj i nie powalaj.

Franek aż podskoczył z radości, Józiovi ślicznie podziękował i odtąd co niedziela, zamiast bawić się hałaśliwie i kłócić się z Antkiem, siadali i głośno czytali powiastki.

Zetem.

ŁAKOMA MANIA.

opowiedziała Wiochna z pod Lublina.

Mała Mania była dziewczynką tak łakomą, jak się rzadko spotyka: żadnego cukierka, żadnego przysmaczka nie można było przy niej zostawić, wszystko musiała poruszyć, pokosztować, a mama strzegła się bardzo, żeby jój nie dawać wstępu do spiżarni, bo w towarzystwie Mani konfitury, śliwki na rożenkach i inne zapasy, przygotowane na zimę, bardzoby się zmniejszyły.

Rodzice martwili się tą brzydką wadą córeczki i karali ją surowo, rodzeństwo wyśmiewało Manię i żartowało z niej przy każdej sposobności, ale to wszystko nie miało wielkiego wpływu na łakomą dziewczynkę: W pierwszej chwili wprawdzie zalewała się łzami i całowała ręce rodziców, obiecując poprawę, ale bardzo prędko zapominała o swych przyrzeczeniach i nie umiała oprzeć się pokusie.

Przy końcu Sierpnia wypadały imieniny tatusia, Mania na wiązanie zrobiła szydełkiem ładny włóczkowy woreczek na drobną monetę, wyuczyła się długiego powinszowania na pamięć i raniutko, gdy tatuś jeszcze leżał w łóżku, poszła wraz z rodzeństwem złożyć mu życzenia. Tatuś naturalnie był zachwycony darami i powinszowaniami dzieci, ucałował je serdecznie, a ściskając Manię, szepnął jój do ucha:

— Śliczny twój woreczek, Manieczko, i bardzo mi się podoba, ale ty wiesz, jakie jabym wolał wiązanie.

— Ach, wiem, tatuniu — odparła Mania, całując ręce ojca — i obiecuję ci, że poprawię się bez wątpienia z mojego łakomstwa.

— Daj Boże — powiedział ojciec, a Mania ustąpiła miejsca małej Heni, pieszczoszce całego domu, która w białej, wyciętej sukience i krótkich rękawkach, z bukiem w tłustej rączce, wyglądała jak aniołek.

Goście z sąsiedztwa mieli się zjechać na wieczór, ale i na obiedzie było już kilka osób, krewnych dalej zamieszkałych, którzy już w wigilią imienin przybyli do rodziców Mani. Nad wieczorem, gdy dzieci już się pięknie postroiły, chłopcy w marynarskie ubranka, a dziewczynki w jasne muślinowe sukienki, Mania, biegnąc przez kredens spostrzegła Jagusię, dziewczkę z kuchni, która czekała na bułkę do posypania kalafiorów.

— Żeby to Mania poprosiła pani o bułkę; nie śmiem iść do pokoju, a nie mam kogo posłać — mówi dziewczyna.

Mama w salonie rozmawiała z gośćmi, więc Mania pobiegła tam do niej, oznajmiając, że Jagusia czeka.

— Idź sama, moja Maniu — odparła mama — daj Jagusi pół takiej długiej miejskiej bułki z białego koszyka i wracaj tu, bo widze na drodze powóz państwa M. pewno są także małe ich córeczki z nimi, więc zaprowadzcie je do ogrodu, żeby się pohuściły i zabawiły w jakie gry. Tylko pamiętaj, nic tam nie łasować w spiżarni — dodała mama ciszej, oddając klucze córeczce.

Mania zarumieniła się, jak wisienka, w obawie, czy kto nie słyszał słów mamy i wybiegła prędko z salonu.

— Otóż właśnie przekonam mamę, że nie jestem tak łakomą, za jaką mię wszyscy mają i niczego nie dotknę — pomyślała sobie, otwierając drzwi spiżarni, a trzeba ję przyznać, że przynajmniej miała szczerę chęć dotrzymania słowa.

Dała bułkę Jagusi, która razaz odeszła, śpiesząc się do kuchni i już, już miała Mania wrócić, nie patrząc na nic, ale niestety! nieszczęśliwe łakomstwo wzięło górę.

— Zobacze, co mama przygotowała na przyjęcie gości; przecież nie będę jadła, ani nawet kosztowała, więc to nic nie szkodzi.

Duży stół cały był zastawiony różnemi przysmakami; stały tam ciasta, owoce, ogromny podolski kawon, czyli arbut, cukierki, komputy, ale już najwspaniałej wyglądał tort od Janowskiego, cały makaronikowy, z różą z cukru i cyframi tatusia na wierzchu. Mania łykała ślinkę i bojąc się, żeby pokusa nie była zbyt silna, schowała rączki za plecami.

— Co to za pyszności! — pomyślała sobie — żeby to można czego skosztować... — „Mama nie pozwoliła”, szeptał ję jakiś głosik wewnętrzny. — Co tam, wezmę sobie jedną gruszkę, tylko jedną i tak dla gości dosyć zostanie. Może mama pozna? Ale nie, czyż może pamiętać, ile było owoców? — usprawiedliwiała się Mania sama przed sobą. Wprawdzie ten nieznośny cichy głosik ciągle szeptał: „Nie bierz, nie bierz”, ale Mania uspokojona zupełnie swemi dowodzeniami, już wyciągnęła rękę po „zakazany owoc”, gdy dał się słyszeć głos mamy:

— Maniu, śpiesz się, czekam na klucze!

Słusznie mówi przysłowie „na złodzieju czapka gore”, dziewczynka wyciągnęła rękę po gruszkę, ale w tym

pośpiechu i obawie, żeby mama nie weszła do spiżarni, nagłym ruchem przewróciła klosz z owocami, który z hałasem upadł na salaterki i talerzyki, przewracając na wspaniały tort obok stojącą butelkę wina. Piękna róża od czerwonego płynu nabrała jeszcze ciemniejszego koloru, zarumieniła się, kto wie, może za Manię, a wino ze wszystkich stron spływało z tortu

Mania oniemiała z przestachu, słowa przemówić nie mogła, stała oszołomiona, nie wiedząc, co się z nią dzieje, a w tejże chwili we drzwiach stanęła mama.

— Co się stało? — zawołała przerażona.

— Mamo, klosz się przewrócił — wyjąknęła po chwili Mania, a każdy ję chyba uwierzy, że radaby się w ziemię skryć przed badaniem.

— Jakto? sam się przewrócił? — spytała mama surowo.

Mania chciała się tłumaczyć, ale nieszczęśliwa gruszka wydała ją.

— Tak więc — rzekła mama — nietylko, że jesteś łakomą i nieposłuszną, narobiłaś nam tyle szkody, poplamiała nową sukienkę (Mania dopiero teraz spostrzegła na białej sukience ogromne plamy z czerwonego wina) ale jeszcze zamiast przyznać się do winy, starasz się usprawiedliwić przez jakieś wykręty. Zasłużyłaś na surową karę i bądź pewna, że się od niej nie tak łatwo wywiniesz. Idź w tej chwili do gościnnego pokoju na końcu domu, rozbierz się z tej sukni i czekaj na pannę Natalią, która ci zada lekcye do odrobienia. Na kolacyę dostaniesz tylko mleko i kawałek chleba i pójdziesz spać o dziewiątej, jak zwykle. Trzeba raz położyć koniec twemu szkaradnemu łakomstwu.

(d. c. n.)

Zagadka głoskowa (Incognito).

a g e l o p
m i n a n j
z a n k a j
y z s i w a

Odczytać znane przysłowie, odgadnąwszy, według jakiej pisowni ułożone?

ROZWIĄZANIE DO N-ru 6-go.

Szarady:

Sza — ra — da.

Skrzynka do listów.

Brzydotka z nad Tamizy jest dla nas bardzo miłą korespondentką, serdeczne pozdrowienie przesyłamy ję z nad Wisły i prosimy, aby zawsze o rodzinnej ziemi ojca swego pamiętała.

Prządka poczciwe ma serduszko, skoro wśród zabawy o ubogich nie zapomina. Niech ją Bóg za to błogosławi.

Śnieżycę i Krasnolicę pozdrawiamy serdecznie; ale cóż to się stało z liścikiem Fiolka wędrownego? Nie widzieliśmy go na

oczy, a tak nam żal tych fioleczków; dostały się komuś, co nawet takiego daru ocenić nie potrafi, szkoda!

Firletka kochaneczka może być pewna, że liścik jej nie doszedł, skoro odpowiedzi nie otrzymała.

Orzełkowy biały przesyłamy tymczasem serdecznego całuska, a co tam powie Gołąbka pocztowa, to się okaże niezadługo.

Kruk z nad Radomki nadesłał łamigłówkę nie podług prawidłowej ułożonej, gdyż i końcowe litery jakieś znaczenie mieć muszą.

Wisławie dziękujemy, że nieśmiałość tak niewłaściwą zwyciężyła i zaliczamy ją do stałych korespondentek.

Słomka kochana tak dawno się nie odzywała, że liścik ucieszył nas niezmiernie. Przy tylu zajęciach trudno zapewne znaleźć czas na dłuższe pisanie, ale na parę słówek przy dobrej woli znajdzie się zawsze. Mamie serdeczne ukłony załączamy. 1 rs. oddano biednym.

Jakóbinka dobrze ułożyła szaradę, wydrukujemy ją chętnie.

Rolnik polski bardzo rozczulił Gołąbkę pocztową i całą redakcję. Upewniamy kochanego Rolnika, że nasze sądy konkursowe zawsze są sprawiedliwe i bezstronne.

Strumyk i Krynica śliczne mają zamiary, oby je w czyn wprowadzili; za przysłanego dla ubogich rubla dziękujemy, ale pisać się *posyłam*, a nie *posłam*. Na tę omyłkę, niezmiernie popielitą, zwracamy często uwagę — nadaremnie!

Różyczkę białą z Wotynia upewniamy, że najchętniej wszystkim kochanym czytelnikom dajemy powtórnie zatracone numera Pisma, o ile tylko nie są wyczerpane.

Detynie dziękujemy serdecznie za wszystkie ciekawe szczegóły o gospodarstwie; bardzo to pięknie, że kochana Detyna tak wczesnie się do tego bierze.

Kozakowi zazdrościmy przyjemnego przepędzenia czasu, niech mu te wszystkie ćwiczenia służą na zdrowie.

Małej Amazonce ułożenie łamigłówek niezbyt się udało, najpierw zadużo w nich wyrazów obcych, powtóre takie nazwy jak Stefan Batory, Leszek Czarny, za często się już powtarzają w łamigłówkach.

Mgła bardzo dobrze zrobiła, że małą siostrzyczkę namówiła do napisania liściku.

Muszka brzęcząca jest rzeczywiście troszkę roztrzepana, bo zapomniała, że i adres, i lata trzeba wypisać na tym samym papierze, ale na ten raz musieliśmy wybaczyć na usilne prośby Gołąbki pocztowej.

Polską Dzieweczkę upewniamy, że Szczurek, przez roztrzepanie zapewne, tak się podpisał ku wielkiemu naszemu podziwieniu.

Kuropatwa z nad Ikopetiu nie zastanowiła się nad tem zapewne, że odsyłanie wypracowań nienagrodzonych, oprócz kosztów, zadużo kłopotu by nam przyczyniała.

Brysia takiego odważnego i dzielnego dobrze byłoby mieć w redakcyi dla bezpieczeństwa.

Gospościa z nad Pilicy niech tylko ma troszkę cierpliwości, a doczeka się lata i nowego konkursu robót.

Murzynce dziękujemy bardzo za wyrozumiałość, nie wszystkie korespondentki są tak rozważne.

Gałązce Wrzосу z Polesia odpisze obszerniej Gołąbka pocztowa, która jest bardzo dumna z powodzenia swego u towarzyszek.

Barwinek z nad Kodemy podziela gust wszystkich czytelników naszych, którzy zachwycają się powiastką „W imię koleżeństwa”. Ale każda rzecz skończyć się musi.

Ślizgawka zawsze otrzyma na każdy liścik odpowiedź, byle czekała cierpliwie, bo odpowiedzi te z rozmaitych powodów nie mogą być dawane natychmiast.

Mała Laszka może pisywać do innych korespondentek, wprzód jednak trzeba nam przysłać prawdziwy swój podpis.

Lis z Mazowsza musi się stosować do przyjętych prawideł; jeden tylko liścik na raz przysyłać wolno.

Kalina z nad Niemna oddawna zaliczona jest do grona korespondentek i może korzystać ze wszystkich ich przywilejów.

Gryffiakowi. Adres Gazety Świątecznej: Krakowskie Przedmieście N-r 43. Utwory na konkurs tam wprost odsyłać należy.

Niezapominajka z Polesia bardzo dobrze robi, że pisze w dwóch liniijkach i dużemi literkami, bo tylko tym sposobem może z czasem wyrobić porządne i piękne pismo; mama w tem ma wielką słusność, a dla nas najmiłsze liściki wyraźnie pisane.

Jaskółkę z nad Prypeci przepraszamy za tę nieuwagę, ale przy załatwianiu sprawunków czasem odpowiedzi bywają dawane przez administracyą, gdyż jedna osoba podać nie może wszystkiemu.

Jaskółce z nad Sekwany komedyjkę posłano, pozostało kop. 47. Cenną przesyłkę otrzymaliśmy w tych dniach, dzięki za nią składamy.

Uczeniicy. Historia polska Dmochowskiego kosztuje kop. 60, karton. 75. *bez przesyłki.*

Jaskółkę z Bychowa prosimy, aby nam doniosła, jaką drogą i kiedy owe pieniądze były przesłane, bo już dziś niepodobna sprawdzić, dlaczego nie były ogłoszone.

Panu Niedźwiedzkiemu początek powieści odesłany. Kłoso, Nowy Świat 41. Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza z tablicami rysunkowemi Chmielna 31, rs. 5, kop. 20 z przesyłką pocztową.

Kochana Żmudzka Konwalijko! Bardzo ci jestem wdzięczna, żeś napisała do mnie. Mam lat 8 imię mi Zosia, mieszkam w Warszawie, uczę się w domu wraz z siostrą młodszą Julcią. Proszę cię bardzo napisz co o sobie Kochająca cię Krakowianka.

Kochana Sarenko z nad Moroczku! Bardzo mnie zainteresowałaś swemi ładnymi listami do innych czytelniczek, postanowiłam więc bliżej zapoznać się z tobą. Ja mieszkam na Polesiu w bardzo pustych stronach nad rzeką Ptyczą, mam 14 lat, i noszę imię pierwszej żony Władysława Jagielly. Twoja Poleszuczka z nad Ptyczy.

Kochana Gajówko z nad Obry. Najserdeczniej przyrzekam poprawę. Nie gniewaj się proszę. Pamiętaj co redakcja powiedziała, że wyrozumiałość jest cechą prawdziwej przyjaźni. Twoja Gałązka wrzосу z Polesia.

Kochany Stefcu! Niedługo się zobaczymy, bo wujenka obiecała mi wiać z sobą do Hostynnego, zasylam ucałowania dla ciebie, Czesia, Henia i Janki. Muszka brzęcząca.

Gronostaju, Sobolu i Bobrze! Nie mam pojęcia, kto wy jesteście; napiszcie mi przynajmniej, jakie są wasze imiona chrześne. Ja się nazywam Zdzis, mam dwie młodsze siostry i małego brata Jasia. 12 letni Lis z Mazowsza.

Kochana Lilijko Niebieska. Mam ochotę zapoznać się i korespondować z tobą; nazywam się Stasia, mam 12 lat i niebieskie oczy, może odgadniesz, kto jestem. Zręczny Zajączek.

Kochany Szczurku Biały! Piszę do ciebie, bo jestem ciekawy, jak wygląda Biały Szczurek. Gdy byłem w Zoologicznym ogrodzie, to wszystkie Białe Szczurki pochowały się, i żadnego nie widziałem. Uczę się przy mamie. Najlepiej lubię się uczyć: rachunków, geometryi, i geografii; jeździć sankami, i rąbać siekierką! Kończę rok 8-my. Napisz mi co o sobie! Potok Górski.

Kochany Rolniku Polski! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, bo i ja kiedyś chciałem być gospodarzem. Każdy rolnik chciałby, żeby przez jego pole płynął strumyk. Kończę rok 9-ty mam trzech młodszych braci i jedną o rok starszą siostrę, która także lubi gospodarstwo i oboje wstajemy przed szóstą rano. Strumyk.

Dla ubogich dzieci nadesłali: Słomka rs. 1. — Strumyk i Krynica rs. 1. — Barwinek z nad Kodemy 1 rs. 20. — Marynia N. rs. 1, 80. — Niezapominajka z Polesia rs. 1. — Gałązka Wrzосу z Polesia rs. 3.